

„Pomarańcze prezydenta” (fragment powieści)

Przełożyła Iwona Uberman

Rozdział drugi

Babilon

1980–1983

Na początku było nie słowo, ale ślina mojej matki na twarzy mojego ojca. Taki był początek mojej rodziny.

Mój ojciec Muhsin przyjechał z miasta An-Nasirijja do Babilonu jako nauczyciel i spędził tu resztę życia z powodu mojej matki Haiat. Nie poznał jej jednak w szkole, ale na bazarze. Kiedy pierwszy raz ją zobaczył, natychmiast coś do niej powiedział. Moja matka nie odpowiedziała i poszła dalej. Ojciec podążył za nią wąskimi uliczkami wielkiego bazaru. Nagle Haiat przystanęła, odwróciła się i zapytała kpiąco:

– Po co mi tak depczesz po piętach?

Na to on odpowiedział: – Chcę zawrzeć z tobą znajomość.

Spojrzała mu z oburzeniem prosto w oczy: – Nie jestem zainteresowana! – odwróciła się, żeby odejść.

– Głupia krowa – mruknął pod nosem mój ojciec i także już się odwrócił.

Styszac jego słowa, Haiat zbliżyła się ponownie do niego i położyła mu rękę na ramieniu. Spojrzał na nią zdziwiony. Wtedy splunęła mu w twarz. Ojciec zaniemówił i stanął jak wryty. A ona? Poszła sobie spokojnie dalej. W tym momencie Muhsin zakochał się w niej.

– Bo na niego naplułaś? – moja matka śmiała się jak dziecko, kiedy ją o to pytałem.

Jeszcze tego samego dnia Muhsin poszedł za nią ukradkiem aż do samego domu, wypytał sąsiadów o jej reputację i o opinię, jaką cieszyła się jej rodzina. Po tygodniu zjawił się u rodziny Haiat w towarzystwie kilku mężczyzn i poprosił o jej rękę. Haiat przyjęła oświadczenia i w rok po historii ze śliną zjawilem się na świecie ja. Jako owoc ich wyjątkowej miłości.

Jestem zatem potomkiem sumeryjsko-babilońskim. Mieszkalem w świętych miejscach kolebki ludzkości: w Babilonie i Urze. I to wcale nie tysiące lat przed Chrystusem, ale pod koniec XX wieku. Moja matka urodziła się w mieście Hilla, stolicy prowincji Babilonu. Mój ojciec pochodził z An-Nasirijja, stolicy prowincji Zi-Kar, położonej w pobliżu ruin Ur, jednego z najstarszych sumeryjskich miast, dawnego centrum Mezopotamii. Oba miasta leżą nad rzeką Eufrat. Piłem z tej rzeki, pływałem w jej wodach, i widziałem tam syrenę o złotych piersiach.

Mieszkałem z rodzicami w Babilonie, w centrum miasta, w dzielnicy Kurdów, położonej w odległości pół kilometra od dworca kolejowego i kilka minut od brzegu rzeki. W dzielnicy kurdyjskiej nie było wcale wielu Kurdów, jak można by sądzić po nazwie. Mieszkało tam tylko kilka kurdyjskich rodzin. Ale mimo to dzielnicę nazywano dzielnicą Kurdów. Żyli tu głównie Arabowie, przeważnie sunniccy muzułmanie albo chrześcijanie, i tylko niewiele szyickich rodzin, takich jak my.

Nie przyszedłem jednak na świat w dzielnicy Kurdów, ale w Samarrze. Kiedy moja matka była już w dziewiątym miesiącu ciąży, wybrała się tam w odwiedzinach do swojej przyjaciółki. Samarra, miasto nazywane dawniej z uwagi na swą niezwykłą urodę „Surra-Man-Ra’a”, co znaczy „szczęśliwy, kto je widział”, jest miejscem moich narodzin.

W kilka dni po przyjeździe do Samarry, moja matka postanowiła zobaczyć piwnicę Al Serdab, w której ukrywał się w IX wieku imam Al Mahdi, dopóki nagle nie zniknął. Od tej pory szyici oczekują jego powrotu. Ma przybyć razem z Jezusem Chrystusem, aby przynieść światu sprawiedliwość i ocalić ludzkość od zła.

Obie kobiety wybrały się więc razem do piwnicznej grotki, ale najpierw odwiedziły groby dziadka i ojca Al Mahdiego w meczecie Al Askari. Potem udały się do Al Serdabu. Moja matka położyła sobie prawą rękę na głowie i powtarzała jak różaniec słowa modlitwy do Al Mahdiego: „Oby imam Al Mahdi zjawił się jak najszybciej, tak szybko, jak tylko będzie mógł”.

Zanim doszły do Al Serdabu, Haiat zemdląta i osunęła się na ziemię. Kiedy po godzinie otworzyła oczy, znajdowała się w szpitalu. Pół godziny później wyostałem się z jej brzucha prosto do rąk pielęgniarki.

Od tej pory nazywam się Mahdi.

Moi rodzice rozpieszczali mnie bezgranicznie. Byłem centrum ich świata i spełnieniem marzeń. Wszystko kręciło się wokół mojej osoby. Dostawałem od nich wszystko, czego dusza zapagnie: słodycze, zabawki i prawie co miesiąc jakieś nowe ubranko. Mniej więcej raz w miesiącu ojciec brał mnie na barana i niósł przez pół miasta, żebym mógł się pobawić na wielkim placu zabaw w Babilonie. Nawet telewizor był włączany u nas wtedy, kiedy wyświetlano w nim seriale rysunkowe. Ale szczęście nie trwało długo. Miałem zaledwie osiem lat, kiedy w życiu mojej rodziny nastąpiła wielka zmiana: rozpoczęła się wojna iracko-irańska.

Pierwszy nalot lotniczy przeraził nas. Samoloty bojowe chrumkały na niebie jak wielkie świnie. Hałas był ogłuszający. Kiedy nastąpił nalot, siedziałem sobie przed telewizorem i oglądałem uszczęśliwiony jakiś program dla dzieci. Moja matka gotowała obiad w kuchni. Zerwałem się na równe nogi, podbiegłem do okna i zobaczyłem duże maszyny kołujące w powietrzu niczym orły. Moja matka przybiegła z kuchni, przycisnęła mnie do siebie, popchnęła na podłogę i przykryła swoją czarną szatą. Niebawem usłyszeliśmy eksplozję, która wstrząsnęła naszym budynkiem. Po niej skryliśmy się do małego zagłębienia za schodami.

W następnej chwili rozbrzmiał alarm przeciwlotniczy, jednocześnie zjawił się w domu mój ojciec. Haiat powtarzała dotąd w kółko jedno i to samo zdanie: „Nie bój się, kochanie, nic ci się nie stanie!”. Ale ja się wcale nie bałem. Nie wiedziałem przecież, co się może wydarzyć. Rozumiałem tylko, że musi to być coś bardzo złego, skoro moja matka aż tak bardzo się przestraszyła. Później, kiedy ojciec siedział już razem z nami i trzymał nas mocno w objęciach, Haiat zaczęła płakać. Dopiero wtedy ogarnął mnie lęk i także nie mogłem pohamować łez. Ojciec próbował nas uspokoić:

– Nie bójcie się, moi kochani! Wszystko będzie dobrze!

Nalot trwał tylko kilka minut. Usłyszeliśmy dwa głośne wybuchy i głośne salwy z karabinów maszynowych, rakiet i dział przeciwlotniczych. Strzelano z nich z poligonu, znajdującego się w pobliskim lesie palmowym. Podobno eksplozje miały także tam miejsce. Nikt nigdy nie widział, co się tam naprawdę dzieje, bo wstęp na teren wojskowy był surowo wzbroniony. Syreny zawyły tego dnia jeszcze kilkakrotnie, ale samoloty bojowe już więcej się nie pokazały.

W ciągu pierwszego miesiąca wojny miasto przeżyło wiele ataków powietrznych. Rząd umieścić działa obrony przeciwlotniczej na dachach szkół, urzędów i biur partii Baas. Mieszkańcom radzono, żeby w przypadku ataku pozostawali w mieszkaniach albo kryli się do wielkiego bunkra w centrum miasta. Przy drugim napadzie udaliśmy się istotnie do bunkra. Znajdował się w odległości około dziesięciu minut od naszego domu, ale mój ojciec chciał koniecznie, żebyśmy się tam schronili. Był uradowany jak małe dziecko, że będziemy mogli nareszcie wejść do środka.

– Nie mamy zbyt wiele bunkrów w naszym mieście – mówił. – Ten jest zupełnie nowy. Musimy go wypróbować! To historyczna chwila!

Moja matka nie mogła go zrozumieć. Woląta raczej ukryć się gdzieś w domu. Ale ojciec obstawał przy swoim. Spiesząc do bunkra, widziałem na niebie całą kolumnę samolotów i słyszałem terkot karabinów maszynowych. Jakiś żołnierz stał na środku ulicy i strzelał do góry w powietrze. Inny trzymał w rękę pancerfausta i kryjąc się za drzewem, obserwował niebo. Na twarzy ojca mieniły się radość i zaciekawienie.

Dotarliśmy do bunkra dosyć późno, ale na szczęście cali. Wartownik wpuścił nas jeszcze do środka. Wiele rodzin siedziało wokół przykucniętych na betonowej podłodze. Szybko znaleźliśmy dla siebie kąt i także ukucnęliśmy. Nie słyszeliśmy, co się dzieje na zewnątrz, bo płacz dzieci i głosy kobiet starających się je uspokoić, zagłuszały wszelkie hałasy poza bunkrem. Czuję się w tym bunkrze okropnie. Śmierdziało tu sraczką dzieci i pierdzeniem dorosłych.

– To ze strachu – tłumaczył ojciec.

Moja matka trzymała fason. Z godną podziwu cierpliwością starała się uspokoić siedzącą obok nas starą kobietę, która przez cały czas płakała, trzęsła się i puszczała bąki. Kiedy wreszcie pojawił się wartownik z latarką, odetchnąłem.

– Nalot minął. Możecie wracać do domów!

Z przyjemnością wdychałem świeże powietrze. Wieczorem ojciec oznajmił nam, że tym razem nie wydarzyło się nic poważnego. Było kilka bombowych eksplozji

na terenie jednostki wojskowej, poza tym jedna z rakiet trafiła w bazar i zniszczyła parę sklepów, zginęły trzy osoby, a dwie są ciężko ranne.

Po tym nalocie nie szukaliśmy już schronienia w bunkrze; zamiast tego podczas następnego alarmu schroniliśmy się w meczecie. To był pomysł mojej matki. Był naprawdę doskonały. Matka uważała, że meczet będzie bezpiecznym miejscem. Nie każdy, ale szycki.

– Irańczycy są przecież szyitami – twierdziła – dlatego nigdy nie zniszczą takiego meczetu.

Tak więc przy następnych atakach lotniczych biegliśmy do meczetu Mojżesza stojącego obok naszego domu. Przebywanie w tym wielkim meczecie było dla mnie tysiąc razy miłsze od pobytu w bunkrze. Tu nie śmierdziało. Ludzie, którzy szukali schronienia w meczecie, bali się moim zdaniem w zupełnie inny sposób. Był to nie tylko lęk przed bombami, lecz także lęk przed Bogiem. Nikt nie odważył się puszczać bąków w domu bożym.

– To byłoby bluźnierstwo – mówiła moja matka. Zapach meczetu był przyjemny, pachniało tu kadzidłem i dobrymi perfumami.

W naszym meczecie schroniło się najpierw tylko kilka rodzin szyickich. Ale kiedy przybiegliśmy tam po raz drugi, w środku było już wiele innych rodzin, głównie chrześcijańskich. Widząc ich, moja matka szepnęła do ojca:

– Zobacz, chrześcijanie też tu są! Czyżby wstąpili nareszcie na właściwą drogę do Boga?

– Nie sądzę – odpowiedział ojciec. – Na pewno szukają tu tylko schronienia tak samo jak my. Nie ty jedna w tej dzielnicy masz dobre pomysły, moja droga.

W istocie, żaden z szyickich meczetów nie stał się celem bombardowań, poinformował nas znowu mój ojciec. Dlatego po każdym kolejnym alarmie stawały się one coraz pełniejsze. Na szczęście naloty nie trwały nigdy długo, a po trzech pierwszych miesiącach wojny zupełnie ustały. Ale walki toczyły się nadal. Działania wojenne przeniosły się teraz na linię frontu. Ludzie przekazywali sobie szeptem, że podobno Irańczycy stracili wiele samolotów i dlatego coraz rzadziej wysyłali je w głąb Iraku.

Kiedy w Babilonie skończyły się naloty, poczułem ulgę. Pierwsze miesiące były dla mnie okropne, bo telewizja przestała wyświetlać programy dla dzieci i zamiast tego nadawano tylko dzienniki z wiadomościami z frontu, oświadczenia rządowe, piosenki dla żołnierzy i mowy prezydenta. Lekcje WF-u w szkole zamieniły się w ćwiczenia wojskowe. W czasie arabskiego nie czytano nam teraz już *Opowieści z tysiąca i jednej nocy*, tylko jedną wojenną historię za drugą, o bohaterach, którzy poświęcają swoje życie za ojczyznę i stają się męczennikami. Prawie przez miesiąc musiałem wracać prosto ze szkoły do domu i siedzieć przez cały czas w mieszkaniu. Moi rodzice nie zgadzali się, żebym wychodził na ulicę i bawił z innymi dziećmi. I prawie przez dwa miesiące nie byłem na wielkim placu zabaw. Mój ojciec uważał, że to zbyt ryzykowne.

Także matka odetchnęła z ulgą, kiedy skończyły się naloty. Ale miesiąc później mój ojciec otrzymał powołanie na front. Kilka miesięcy potem moją matkę ogarnęła rozpacz, bo jej mąż rozstał się z życiem i światem.

Tak straciłem ojca w wieku lat dziewięciu, na początku drugiego roku wojny. Poległ na południowym froncie. Żołnierz z jego oddziału, który przywiózł nam jego urnę, powiedział nam, że mój ojciec usiadł w nocy lekkomyślnie na małym pagórku i zapalił papierosa. Jakiś irański snajper z drugiej strony okopów musiał dostrzec jarzący się czubek, dlatego strzelił w tę stronę i trafił mojego ojca w lewe oko.

Od jego śmierci nazywano mnie synem męczennika. W szkole dostałem po dziesięć dodatkowych punktów z każdego z przedmiotów jako rządową nagrodę za ojca męczennika. Rząd wynagrodził także moją matkę. Otrzymała działkę budowlaną, dwa tysiące dolarów i renaulta jako materialne wyrównanie za poległego męża. Jak się później dowiedziałem, wiele arabskich i zachodnich krajów popierało wówczas iracki rząd, bo chciały one w ten sposób zapobiec temu, żeby na Bliskim Wschodzie powstało nowe szybko-muzułmańskie państwo. Irak prowadził więc przeciwko Iranowi wojnę, która była właściwie wojną połowy świata przeciwko Iranowi. Irakijczycy wysyłali żołnierzy na front, a ich sojusznicy przysyłali pieniądze, broń i samochody. Moja matka sprzedała działkę i renaulta i kupiła dla nas małe mieszkanie w tej samej dzielnicy, w której do tej pory mieszkaliśmy. Część mieszkania przerobiła na mały sklepik. Ścianę od ulicy zamieniła na duże wejście i powiesiła nad nim szyld: „Sklep warzywny męczennika”.

Dzięki temu mogła mnie wychowywać bez pomocy krewnych czy znajomych. Nigdy więcej nie chciała już wyjść za mąż. Zawsze kiedy ktoś się jej oświadczał, mówiła, że na tym świecie był tylko jeden mężczyzna, który posiadał jej serce i duszę. Jeśli ktoś chce się z nią teraz ożenić, musi go zapytać o zgodę. Ale jak można było zwrócić się do męczennika?

Po śmierci Muhsina jeździłem z moją matką do An-Nadżafu na grób mojego ojca, który znajdował się na wielkim cmentarzu. Z trudem znosiłem widok mojej matki zapalającej świeczkę i kadzidło na grobie męża i zanoszącej się żalostnym płaczem. Za każdym razem odbywał się ten sam rytuał. Ja stałem nad grobem ojca obok niej, ale nigdy nie miałem wrażenia, że on naprawdę tu był. Widziałem przed sobą jedynie kamień z napisem: Muhsin Hussein Al Saidy. Urodzony 17.02.1947. Zginął śmiercią męczennika 11.04.1981. Nie mogłem w to uwierzyć, że mój ukochany ojciec leży przede mną w ziemi. Mimo to także płakałem, bo moja matka płakała.

Towarzyszyłem matce nie tylko na cmentarzu. Często jeździliśmy także na pielgrzymki do meczetów na wschodzie i zachodzie kraju. Moja matka nalegała, żebyśmy pielgrzymowali raz w miesiącu. Tłumaczyła mi, że w ten sposób zdobędziemy przychylność niebios.

– Drzwi do nieba przy świętych grobach, meczetach i błogostawionych szkatułach stoją otworem. Możesz tam wymówić wszystkie swoje życzenia. Ale musisz otworzyć serce na światło.

Przy jednej z takich okazji poprosiłem imama Al Kadhuma z Bagdadu, żeby sprawił, aby ojciec wrócił do nas i moja matka nie musiała już więcej tak strasznie płakać. Modliłem się w wielkim, jasnym meczecie ozdobionym złotymi oknami, dokładnie na wprost grobu imama, prawie całą godzinę. Potem wrzuciłem dinara do skarbonki koło grobu i obiecałem, że jeśli imam spełni moje życzenie, złożę mu jeszcze w ofierze dorodnego koguta. Czekałem cierpliwie i pełen nadziei przez wiele tygodni, ale w końcu zaczęła narastać we mnie złość na Al Kadhuma. Jego jednak wcale to nie poruszyło. Imam przysłał mi jedynie we śnie mężczyznę, który mi obwieścił, że taka wymiana jest niemożliwa. Mój ojciec nie żyje i martwy człowiek nie może wrócić do swojej rodziny. Odpowiedziałem, że jeśli imam nie może spełnić mojego życzenia, chcę, żeby w takim razie oddał mi z powrotem dinara. Ale mężczyzna ze snu powiedział, że i to nie jest możliwe. Od tej pory nie żądam niczego więcej ani od Al Kadhuma, ani od innych imamów. I przysiągłem na Boga, że nigdy w życiu nie ofiaruję już żadnemu z nich ani monety, ani koguta.

Tak naprawdę nie wiem, jakim człowiekiem był mój ojciec. Nie poznałem go na tyle dobrze, aby móc go opisać. Wiem tylko, że był dobrym mężem. I że był lubiany przez sąsiadów, tak przynajmniej wszyscy twierdzili.

Moją matkę znałem za to dobrze. Prześladowała ją śmierć. Bardzo wczesnie straciła rodziców. Potem ciotkę Malikę, która przejęła nad nią opiekę po śmierci rodziców. Teraz śmierć zabrała jej również męża.

Ale nawet śmierć Muhsina nie zgasiła całkowicie uśmiechu na jej twarzy. Matka starała się skierować nasze życie na właściwe tory. Pracowała całymi dniami w sklepie i pomagała mi w odrabianiu lekcji, chociaż nie umiała zbyt dobrze czytać i pisać.

Po śmierci rodziców Haiat zamieszkała u ciotki Maliki, starej samotnej kobiety, która tak naprawdę była jedynie sąsiadką zaprzyjaźnioną z rodziną. Moja matka miała wówczas trzynaście lat i ciotka Malika nie widziała potrzeby, aby nadal posyłać ją do szkoły. Jej wysiłki koncentrowały się na wychowaniu Haiat i jak najszybszym wydaniu jej za mąż. Dalszy los dziewczynki leżał Malice na sercu, dlatego bardzo się ucieszyła, gdy zjawił się miły mężczyzna, aby się oświadczyć. Stara ciotka była szczęśliwa, że Haiat znalazła męża, zanim ona sama odeszła z tego świata.

Teraz moja matka miała w Babilonie mnie. Pomagałem jej w sklepie. I gotowałem dla niej jedzenie, kiedy była chora. Nie robiłem tego zbyt dobrze, ale matka za każdym razem bardzo się z tego cieszyła i twierdziła, że nic równie smacznego jeszcze nigdy dotąd nie jadła. Potem uśmiechała się i dodawała, że jestem taki sam jak mój ojciec: „Tak dobry, że aż naiwny”.

Po śmierci ojca matka spełniała każde moje życzenie. Dostawałem duże kieszonkowe, prawie sto filsów dziennie. Wystarczało to na torebkę pestek słonecznika, coś do picia i na kanapkę z humusem, które mogłem sobie kupić w szkolnym kiosku, a wieczorem na słodycze z jakiegoś sklepu w centrum miasta. W święta dostawałem

od niej jeszcze dodatkowo jednego albo dwa dinary. Miałem także wiele różnych ubrań. Były wprawdzie z rynku staroci, ale zawsze w dobrym stanie. Nawet w pierwszym roku po śmierci ojca moja matka dbała o to, żebym chodził porządnie ubrany, chociaż nie miała wtedy pieniędzy. Długo to trwało, zanim wypłacono jej państwową zapomogę. Czekaliśmy przez ponad rok na załatwienie wszystkich formalności urzędowych.

Dlatego na początku moja matka musiała się ciągle targować przy zakupach. Robiła to jednak niezwykle umiejętnie. Pewnego razu byłem świadkiem jej kunsztu. Biedny handlarz miał ochotę zapaść się przy tym pod ziemię. Był sprzedawcą ulicznym i zagadywał klientów przed wejściem do wielkiego bazaru.

– Ile kosztują te spodnie? Albo te trzy pary spodni? Chcę je wziąć dla mojego syna – zaczęła Haiat i położyła opiekuńczo rękę na mojej głowie.

– Jedne spodnie kosztują dwa dinary.

– A dla sieroty?

– W takim razie te trzy pary tylko za pięć dinarów.

– „Czy widziałeś takiego, co nie wierzy w sąd Boży? To taki, który przepędza sieroty” – mówi Bóg – chwata Mu i sława.

– To ile chce pani zapłacić?

– Dinara za te trzy pary.

– Na jakim świecie pani żyje? Ja też mam dzieci i muszę je wyżywić.

– Pańskie dzieci mają dobrego ojca. Mój chłopiec jest sierotką. Został mu tylko Bóg i takie anioły jak pan, które mogą mu pomóc. Niech pan nie zapomina o tym, co mówi nasz Bóg – chwata Mu i sława: „Pytają cię, jak udzielać pomocy. Odpowiedz im: Wszystko, co ofiarujecie, dostanie się rodzicom i krewnym, i sierotom, i biednym, i tym, którzy są w podróży. A wszystko, co dobrego uczynicie – Allah wie o tym i nie zapomni wam tego”.

– Na Boga! Wyuczyła się pani na pamięć całego Koranu? No dobrze, cztery dinary.

– Mam tylko jednego.

– To niech pani weźmie za niego jedno spodnie.

– Czy chce pan, żeby się z niego dzieci w szkole śmiały, że chodzi zawsze tylko w jednych i tych samych spodniach? Wierzy pan w Boga?

– Oczywiście, że wierzę!

– To niech pan kupi pałac w niebie dla siebie i swojej rodziny. Prorok – niech go Bóg błogosławi – mówi: „Kto pogładzi po głowie sierotę tylko po to, żeby znaleźć przychylność Allaha, na tego będzie czekać w niebie zapłata za każdy włos, którego jego ręka dotknie”.

Handlarz zastygł, przyjrzał się mojej matce bardzo długo i w końcu przecesał ręką włosy.

– W takim razie dwa dinary.

– Mohamed, Pieczęć Proroków – niech go Bóg błogosławi i ma go w opiece – mówi...

– Niech go Bóg błogosławi i ma go w opiece! Wystarczy! Niech pani bierze wszystko za darmo, ale niech mi pani, na litość Boską, da wreszcie spokój!

Moja matka zapakowała trzy pary spodni, położyła dinara na ziemi, złapała mnie za rękę i powiedziała do handlarza:

– Tysiąckrotne dzięki, niech pana Bóg wynagrodzi i strzeże pańskie dzieci.



Roussanka Alexandrova-Nowakowska, *Plum-10*